

Jan Rydel

*Polityka historyczna na kierunku
zachodnim po 1989 roku
– obserwacje własne*

Historycy i politycy: polityka pamięci w III RP,
red. Paweł Skibiński, Tomasz Wiścicki, Michał Wysocki,
Wydawnictwo DiG oraz Muzeum Historii Polski,
Warszawa 2011, s. 179-191.

Jan Rydel

Polityka historyczna na kierunku zachodnim po 1989 roku – obserwacje własne

Zbyt krótki dystans czasowy oddzielający historyka od opisywanych wydarzeń uniemożliwia ich obiektywny opis i poprawne wyjaśnienie. Mający pozory naukowości tekst zbudowany na podstawie jawnych, powierzchownych materiałów nie zbliżyłby czytelnika do istoty problemu nawet o krok. W tej sytuacji zdecydowałem się przekazać czytelnikom garść obserwacji dotyczących polskiej polityki historycznej, jakie poczyniłem będąc w latach 2001–2005 dyplomata, zajmującym się w Ambasadzie RP w Berlinie sprawami kultury, nauki i promocji. Ponieważ to, co działo się w Niemczech tamtych lat, jest absolutnie kluczowe dla uruchomienia w Polsce dyskusji o polityce historycznej, rzeczywista przydatność moich obserwacji wykracza – jak sądzę – poza kontekst tego wycinka stosunków polsko-niemieckich. Z natury rzeczy moje obserwacje są subiektywne i na wiele opisanych tu spraw można (i zapewne trzeba) spojrzeć z innego punktu widzenia, dlatego zachęcam innych obserwatorów do wymiany doświadczeń.

W kilka miesięcy po rozpoczęciu przeze mnie pracy w Ambasadzie RP w Berlinie ukazał się obszerny (18 stron), wspólny dokument Ministerstwa Spraw Zagranicznych oraz Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, zatytułowany *Zagraniczna polityka kulturalna Polski i jej priorytety na lata 2001-2003*, datowany na 21 sierpnia 2001 r. Tymczasem 23 września odbyły się wybory parlamentarne,

które dały ogromną przewagę SLD, a na stanowisko ministra spraw zagranicznych wyniósł Włodzimierza Cimoszewicza. Jak się zdawało, dokument ten był łabędzim śpiewem obozu post-solidarnościowego w dziedzinie zagranicznej polityki kulturalnej, oto bowiem zlikwidowana została dotychczasowa, najsilniej w historii polskiego MSZ rozbudowana struktura pionu kulturalnego, który od 1998 roku składał się z koordynującego Departamentu Dyplomacji Kulturalnej oraz podlegających mu departamentów: Polityki Kulturalnej i Naukowej, Promocji oraz Systemu Informacji. Nowa władza przeniosła ogół zadań tej dziedziny polityki zagranicznej na jeden tylko Departament Promocji, co wyczuwalnie obniżyło jej rangę. Ponadto władze ministerstwa ogłosiły, że wszystkie placówki – pod groźbą sankcji – skupić się mają na promowaniu polskiej gospodarki. Ponieważ jednak o jakichś nowych, specjalnych koncepcjach promowania gospodarki nikt potem nie słyszał, dotychczasowa koncepcja zagranicznej polityki kulturalnej nie uległa zmianie. Co więcej, zmiany personalne, dość radykalne w innych częściach MSZ, ominęły Departament Promocji, który – jak się wówczas mówiło – pełnił od tej pory rolę listka figowego w systemie ministra Cimoszewicza.

Wspomniany dokument, oczekiwany z zainteresowaniem i pewnym napięciem, był efektem bardzo poważnych i bezprecedensowych (w Polsce) prac koncepcyjnych dotyczących roli, celów i metod nowoczesnej zagranicznej polityki kulturalnej. Zapowiadał uczynienie z polityki kulturalnej trzeciego filaru polskiej polityki zagranicznej. Potwierdzał definitywne odejście od prezentacji naszego kraju w konwencji Cepelii i „Mazowska”, zapowiadał nowoczesne definiowanie grup celowych polskiej zagranicznej polityki kulturalnej, polegające m.in. na położeniu akcentu na dotarcie do rzeczywistych zagranicznych „multiplikatorów” oraz na zmniejszeniu zaangażowania w kulturalną „obsługę” Polonii. Sankcjonował także słuszną taktykę skupiania nieznacznych wciąż środków przeznaczonych na promocję Polski w określonym czasie i miejscu, w formie „lat polskich”, „sezonów kulturalnych” etc. Porównując z praktyką innych państw, proponował model organizacji zagranicznej polityki kulturalnej odpowiedni – jak sądzono – dla kraju niezamożnego, lecz mającego duże ambicje w sprawach kultury. W tym modelu ważna rola przypadła nowo tworzonemu Instytutowi Adama Mickiewicza jako twórcy i dostawcy nowoczesnych programów i materiałów promocyjnych.

W dokumencie tym, będącym – co pragnę podkreślić – milowym krokiem na drodze modernizacji promocji Polski, nie ma ani słowa o historii. Wspomina się tylko o dziedzictwie narodowym w kontekście jego ochrony za granicą, a także o propagowaniu historycznych (w znaczeniu: dawnych) i obecnych osiągnięć polskiej kultury. Historia jako jeden z podstawowych składników polskiej tożsamości, który trzeba przybliżyć i objaśniać cudzoziemcom, jeśli się chce, aby Polacy byli w pełni rozumiani (a co za tym idzie – odpowiednio traktowani), zupełnie umknęła uwadze autorów głównego po 1989 dokumentu programowego zagranicznej polityki kulturalnej. Piszący te słowa, przebrnąwszy w 2001 roku przez jego dość drętwy język, bynajmniej zresztą tego braku nie dostrzegł i nie złożył *votum separatum*. Bez żadnych wątpliwości identyfikowaliśmy się wówczas ze strategicznym celem zagranicznej polityki kulturalnej, jakim było wspieranie metodami dyplomacji kulturalnej procesu wstępowania Polski do Unii Europejskiej. Taki wybór implikował – zdaniem MSZ – upowszechnianie wyobrażenia o Polsce jako kraju, w którym dokonuje się szybka modernizacja, także w aspekcie kulturowym, kraju o nowatorskim, pluralistycznym życiu artystycznym, o dynamicznym, dobrze wykształconym społeczeństwie. Drobnym, lecz znamionym faktem, ilustrującym traktowanie historii jako zagadnienia podrzędnego, był zalecany schemat okresowych sprawozdań Instytutów Polskich i attachatów kulturalnych, w którym przewidziane były punkty takie jak promocja literatury, teatru, filmu i nauki, nie było natomiast „promocji historii” czy „promocji wiedzy o historii”.

Naturalnie, nie oznacza to, iż placówki polskie w związku z taką strategią ignorowały kwestie historyczne w swej pracy i tak np. działania symboliczne, jak obchody świąt i rocznic oraz składanie wieńców (na którego temat tak często a niesłusznie się ironizuje), podejmowane były z przekonaniem i niemalą inwencją. Dokładaliśmy też wszelkich starań, aby wspierać miejscowe inicjatywy mające upamiętniać okres II wojny światowej i ofiary narodowego socjalizmu, a przynajmniej przez swą obecność uzewnętrznić nasze poparcie dla tych inicjatyw, nawet wówczas gdy były one skromne lub wręcz niedopracowane. Mam nieodparte wrażenie, iż zaangażowanie na tym polu było nie tylko kwestią rutyny i urzędniczego instynktu samozachowawczego, lecz także sprawą wychowania i poczucia godności, łączącą wśród polskich dyplomatów, ponad podziałami, wynikającymi z ich odmiennych

politycznych afiliacji, wrogo na co dzień do siebie nastawione frakcje „Wydziału Zagranicznego SZSP” i „Solidarności”. Nie inaczej było z ostrymi protestami i interwencjami przeciw pojawiającym się w mediach dwa-trzy razy w ciągu roku osławionym sformułowaniom o „polskich obozach koncentracyjnych”.

Niekiedy, działając własnymi siłami placówek, można było osiągnąć naprawdę poważne rezultaty. Do tej kategorii należały bez wątpienia zakończone wielkim sukcesem starania o wydanie po niemiecku pierwszej tam książki Normana Daviesa *Im Herzen Europas. Geschichte Polens* (1999). Operacja ta, prowadzona osobiście przez ówczesnego ambasadora, Andrzeja Byrta, zanim piszący te słowa podjął pracę w Berlinie, doprowadziła do przełamania oporów niemieckich wydawców i zapoczątkowała wchodzenie książek Daviesa do obiegu czytelniczego w Niemczech. Ówczesne zainfekowanie Niemców Daviesem przyniosło po kilku latach ciche zwycięstwo polityki historycznej uprawianej przez Ambasadę RP w Berlinie, którym było zaproszenie Normana Daviesa przez Gerharda Schrödera na kilkugodzinną prywatną rozmowę. Nigdy nie poznałem szczegółów jej przebiegu, jednak mieliśmy nieodparte wrażenie, że od czasu jej odbycia kanclerz zaczął baczniej zwracać uwagę na wrażliwość Polaków w sprawach historycznych.

Innym historyczno-politycznym działaniem rozpoczętym w skali mikro (czyli przy biurku na poddaszu ambasady), które po dziesiątkach godzin zakulisowej pracy, dzięki oddaniu sprawie niemieckich przyjaciół i dalekowzrocznemu zaangażowaniu pewnych, bynajmniej nie ministerialnych partnerów w Polsce, przyniosło i nadal przynosi poważne owoce, była wystawa przypominająca bardzo specyficzny epizod w stosunkach polsko-niemieckich, jakim był okres powstania listopadowego i lata następne, kiedy doszło w Niemczech do wybuchu *Polenbegeisterung* (fascynacji Polską). Wystawa ta zarówno w wersji oryginalnej, jak i do dziś krążącej po Niemczech wersji objazdowej, uzmysłowiła kilkudziesięciu tysiącom Niemców, że u kolebki niemieckiej demokracji, którą tak sobie cenią, jest partnerska współpraca z Polakami, poniekąd uczącymi ich przodków, jak się o nią walczy.

Z pewnością wielu, a zapewne większość polskich dyplomatów, którzy w tym okresie pracowali w Niemczech (i gdzie indziej), może z satysfakcją wskazać na swe większe i mniejsze przedsięwzięcia na polu polityki historycznej, chociaż nikt z nich wówczas nie wiedział,

że właśnie ją uprawia. Centrala – co trzeba przyznać – nie podchodziła rygorystycznie do swych założeń programowych, pozostawiając placówkom pewną swobodę w podejmowaniu inicjatyw historycznych, o ile finansowane one były w ramach ich własnych, skromniutkich budżetów. Inicjatywy te były zatem pochodną inwencji i siły przebiecia poszczególnych osób oraz ich wycucia aktualnych konstelacji politycznych oraz zrozumienia dla problematyki historycznej, które umiejętności jedni posiadli w wysokim stopniu, a inni wcale. Tak więc, rozpatrywany całościowo efekt wszystkich poczynań na polu (nieuświadomionej) polityki historycznej mógł być w najlepszym razie przeciętny i *ex post* za duży sukces poczytuję to, iż nie doszło wówczas do większych polityczno-historycznych wpadek.

Warunkiem koniecznym dotarcia do szerokiego kręgu zagranicznych odbiorców z polskim przekazem dotyczącym historii – i w konsekwencji np. obalenia któregoś z licznych w Niemczech mitów na temat historii Polski – było ofensywne i metodyczne podejście centrali do tej kwestii; nie wystarczało przyzwolenie na inicjatywy oddolne i lokalne. W okresie, który piszący te słowa poznał z autopsji, nie istniała ministerialna koncepcja eksponowania określonych aspektów historii Polski, w konsekwencji nikt nie pracował nad przygotowaniem poważnych przedsięwzięć promocyjnych o tematyce historycznej i opracowaniem materiałów informacyjnych na ten temat. W ten sposób w serii kilkunastu broszur promocyjnych, skądinąd starannie wydanych i dobrze tłumaczonych, była tylko jedna, prezentująca całą historię Polski na kilku stronach.

Byliśmy szczęśliwi, gdy w poważniejszych debatach i kontrowersjach historycznych mogliśmy się posłużyć niemieckimi przekładami polskiej literatury historycznej. Niestety, takich przekładów jest wciąż niewiele (aczkolwiek więcej niż w jakimkolwiek innym kraju), a ich dobór wynika z zainteresowań i potrzeb niemieckiego rynku księgarskiego, a nie z tego, co Polacy sami chcieliby o swej przeszłości Niemcom powiedzieć. Znamienne jest, iż jedyna inicjatywa wydawnicza w większej skali, prezentująca dorobek polskiej historiografii w Niemczech, to seria *Klio in Polen*, wydawana przez Niemiecki Instytut Historyczny w Warszawie. Ponadto nie można zapominać, że główna nasza grupa docelowa, czyli owi „multiplikatorzy”, to jest np. dziennikarze i nauczyciele, rzadko są w stanie wykorzystywać naukowe monografie. Potrzebują oni raczej ujęć odzwier-

ciędlających najnowszy stan wiedzy, ale podanych w formie bardziej strawnej, dobrze ilustrowanych obrazami i tekstami źródłowymi, a takich jako żywo nie mieliśmy do dyspozycji.

Brak zainteresowania MSZ kwestiami historycznymi przejawiał się nie tylko w braku własnego pomysłu na działania z pogranicza historii i polityki, lecz także w milczeniu w bardzo niekiedy ważnych kwestiach polityczno-historycznych, które powinny być przedmiotem żywego zainteresowania tego resortu. Piszący te słowa zetknął się z taką postawą po raz pierwszy podczas debaty na temat zbrodni w Jedwabnem. Centrala nie miała pomysłu w tej sprawie, tymczasem na miejscu, w Niemczech, trzeba było rozstrzygać, czy zamierzamy działać tonizująco, aby debata jak najdłużej ograniczała się do kręgu historyków i wyspecjalizowanych publicystów, ryzykując zarazem, iż ktoś nam zarzuci, że sprawy trudne i bolesne „zamiatamy pod dywan”, czy też – wręcz przeciwnie – chcemy jak najbardziej rozszerzać krąg dyskutantów i podnosić temperaturę dyskusji, prezentując faktycznie wysoki poziom polskiej debaty w tej sprawie, akceptując równocześnie ryzyko, że np. niemieckie media popularne zaczną zamieszczać wywiady z mieszkańcami Jedwabnego *à la* Claude Lanzmann. Za stosowaniem jednej a l b o drugiej strategii przemawiały poważne argumenty, a jedyne, czego nie wolno było robić, to realizować obydwu równocześnie, do czego – wobec milczenia centrali – doszło, wywołując spór z udziałem placówek w Niemczech i ministerstwa. A piszący te słowa do dziś nie wie, jaki komunikat w tej ważnej sprawie Rzeczpospolita chciała przekazać niemieckim partnerom.

Natlenie zaangażowania MSZ w kwestiach historycznych wyraźnie odróżniała się działalność zagraniczna Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Wprawdzie poczynania Rady w Niemczech, jakich byłem świadkiem, z pewnością nie miały tego formatu, który na Wschodzie sprawiał, iż same w sobie były aktami „wielkiej polityki”, to jednak dzięki aktywności i doświadczeniu, jakie zebrał Andrzej Przewoźnik będąc od 1992 roku sekretarzem generalnym Rady, prawie wszystko, co zapowiadał w charakterystycznym dla siebie, kategorycznym tonie, doczekało się realizacji.

Przywołużę z pamięci pierwsze nasuwające mi się przykłady, jak porozumienia z Niemcami o wzajemności w opiece nad grobami wojskowymi i grobami ofiar totalitaryzmu oraz umieszczenie dużej i pełnej treści tablicy pamiątkowej, poświęconej polskim ofiarom

obożu Bergen-Belsen. Wrażenie wywierała też jego precyzyjna wiedza o tym, co w sprawach upamiętnienia „walk i męczeństwa” działo się w Niemczech przed np. dziesięcioma laty, jak zachowywali się wówczas nasi dzisiejsi partnerzy (np. wspomnienie o zaciętych bojach o umieszczenie polskiej tablicy w Ravensbrück). Pozytywnym doświadczeniem była także współpraca z reprezentantami nowo powstałego Instytutu Pamięci Narodowej, którzy odwiedzali Berlin, planując podjęcie tam działań z zakresu edukacji publicznej. Część z nich doczekała się udanej realizacji.

W opisaną tu, dość wiotką konstrukcję polskiej polityki historycznej w Niemczech uderzyła sprawa Centrum przeciw Wypędzeniom. Inicjatywa ta, początkowo niepostrzeżenie dla polskiej polityki zagranicznej, przesunęła tematykę „ucieczki i wypędzenia” (*Flucht und Vertreibung*) z kategorii prawicowego folkloru politycznego RFN na czoło poważnego prądu przemian mentalnościowych, jakim jest nawrót do przypominania i czczenia własnych, niemieckich ofiar II wojny światowej po trzydziestu latach wypierania ich z niemieckiej pamięci zbiorowej, przestrzeni publicznej i mediów, a to z obawy, że przypominanie własnych ofiar ujmie coś ofiarom niemieckiej polityki lat 1933–1945.

Polityczną konsekwencją tych przemian była dezaktualizacja starego i wygodnego dla nas schematu, wedle którego (naturalnie w uproszczeniu) lewica zawsze mówiła tzw. wypędzonym „zdecydowane nie”, a prawica i centrum „raczej tak”. Teraz nie było w tej kwestii już żadnych pewników. Pamiętam, jak szeroko otwierały nam się oczy, gdy 21 lutego 2002 roku, podczas publicznej debaty *Ile historii jest na wschodzie? Niemcy i Europa Wschodnia* ówczesny niemiecki minister kultury (ściśle mówiąc: pełnomocnik Rządu Federalnego ds. kultury i mediów), filozof, prof. Julian Nida-Rümelin (SPD), w imieniu swego stronnictwa nostalgicznie wspominał czasy, gdy „wypędzeni” byli w dużym stopniu wyborcami socjaldemokracji. Stwierdził ponadto, że „w dziesięć lat po zjednoczeniu Niemiec i przemianach w Europie Wschodniej nadszedł już czas, aby podnieść woal od dawna okrywający problem kultury niemieckiej na Wschodzie”, oraz jasno poparł ideę utworzenia Centrum przeciw Wypędzeniom, a za nim z niewielkimi zastrzeżeniami premier Brandenburgii Manfred Stolpe i poseł Markus Meckel (obaj z SPD). Dyrektor Instytutu Moseesa Mendelssohna prof. Julius Schoeps powiedział krótko:

„Zentrum? Wunderbar!” (Centrum? Cudownie!). Jedynym, który nie zadeklarował wówczas swego poparcia, był Norbert Lammert z CDU. 4 lipca 2002 roku Bundestag podjął uchwałę „Za utworzeniem europejsko ukierunkowanego Centrum przeciw Wypędzeniom”, która – pod warunkiem zachowania pewnych wytycznych programowych – zapalała zielone światło dla przyszłego zaangażowania państwa niemieckiego w tworzenie tej placówki począwszy od 2005 roku.

Gdy potwierdziły się informacje o powstawaniu w RFN szerokiego konsensu wokół tworzenia Centrum, wyobraziliśmy sobie *the worst possible case* z polskiego punktu widzenia. Byłaby to sytuacja, w której za dwadzieścia-trzydzieści lat w świadomości historycznej Niemców utrwali się dwubiegunowy obraz II wojny światowej i jej następstw, w którym dominować będzie Holokaust i „wypędzenie”. Obydwa fenomeny będą się dialektycznie dopełniać i znosić. Łańcuch przyczynowo-skutkowy tamtych wydarzeń się popłącze i pójdzie w zapomnienie, niemiecka dusza dozna ukojenia dzięki równowadze winy i kary, a Polacy zasiądą na dziejowej ławie oskarżonych. No cóż – Jedwabne, Kielce, Łambinowice, Jaworzno, Świątchłowice... Gdyby ten czarny scenariusz miał się kiedykolwiek sprawdzić, moglibyśmy sobie schować do kieszeni wszystkie kampanie wizerunkowe, *branding*, logo Polski z wesołym latawcem i cały międzynarodowy PR z marketingiem. Czuliśmy, że w takiej sytuacji wyjaśnianie i propagowanie polskiego punktu widzenia na historię powinno zająć bardzo wysoką pozycję w hierarchii naszych zadań w Niemczech.

Gdy te fakty i przemyślenia dotarły do świadomości Kraju, temperatura debat i krytyk zaczęła z miesiąca na miesiąc rosnąć i w końcu stała się bardzo wysoka. Kontrowersja ta osiągnęła apogeum we wrześniu 2003 roku. 1 września ambasador RP złożył wieniec w samym sercu Berlina w budynku Neue Wache przy Unter den Linden, jako będącym zarazem oficjalnym Centralnym Miejscem Pamięci RFN i wykorzystywanym podczas najpoważniejszych niemieckich uroczystości państwowych (o szczególności tego gestu nieco dalej). 16 września w redakcji „Rzeczpospolitej” w Warszawie doszło do gwałtownej dyskusji grona czołowych polskich polityków (ucieleśniających polski konsens w tej sprawie) z Eriką Steinbach, a tydzień później „Wprost” opublikował na okładce fotomontaż z szefową Związku Wypędzonych w esesmańskim mundurze, siedzącą okrakiem na Schröderze. 22 września, czyli tuż po ukazaniu się tej

karykatury, odbyły się doroczne, polsko-niemieckie konsultacje rządowe na stadionie FC Schalke 04 w Gelsenkirchen, podczas których postanowiono przeprowadzić Rok Polsko-Niemiecki 2005/2006 jako remedium na pogorszenie atmosfery. Jak się wydaje, w ciągu tego miesiąca nasi niemieccy partnerzy uświadomili sobie, jak wielkie straty w stosunkach polsko-niemieckich spowodować musi bezrefleksyjne parcie do utworzenia Centrum przeciw Wypędzeniom, i wspomniany wewnątrzniemiecki konsens w tej sprawie zaczął słabnąć.

Jeżeli ktoś sądziłby, że tak dramatyczny rozwój wypadków na styku polityki i historii zdecydowanie zmienił rozumienie celów i metod polskiej zagranicznej polityki kulturalnej przez rząd i MSZ, byłby w błędzie. Nie przypominam sobie, żeby centrala przedstawiła jakiś pomysł wzmocnienia naszego przekazu w sprawach historycznych, ani też, by pytano placówki o propozycje w tej kwestii. Skromne środki, jakie ministerstwo przeznaczało wówczas na potrzeby dyplomacji kulturalnej, wykorzystywane były nadal do tworzenia korzystnego klimatu wokół akcesji Polski do Unii Europejskiej. Kiedy jednak ten strategiczny cel został osiągnięty, a stało się to – jak wiadomo – 1 maja 2004 roku, w polityce historycznej MSZ nadal niewiele się zmieniło. Naturalnie, doznawaliśmy oznak zrozumienia i życzliwości ze strony właściwego departamentu, w postaci np. dość łatwej zgody na elastyczne wykorzystanie budżetu promocyjnego, co ułatwiało nam podejmowanie *ad hoc* pewnych wcześniej nieplanowanych inicjatyw. Doświadczaliśmy i innych gestów dobrej woli. Łagodziły one nieco naszą frustrację, nie usuwały jednak poczucia, że w tej nadzwyczajnej sytuacji pozostawieni jesteśmy sami sobie.

Co gorsza, okres 2002–2004 były to lata chude finansowania polskiej zagranicznej polityki kulturalnej. W związku z tym między polskimi placówkami dochodziło do ostrej walki o pieniądze. Placówki polskie w Niemczech otrzymywały i tak więcej środków na promocję niż w innych krajach, mimo to działaliśmy w stanie permanentnego i głębokiego niedofinansowania, które skazywało nas z góry na granie w „lidze okręgowej”. Podczas przygotowań do jednego z koncertów zaproszona niemiecka specjalistka od promocji podała kwotę, bez której – jak stwierdziła – w ogóle nie warto myśleć o promowaniu jakiegokolwiek wydarzenia kulturalnego w Berlinie. Była to suma stanowiąca jedną trzecią całego rocznego budżetu placówki na działalność kulturalną...

Instytuty Polskie były w praktyce wysoce niezależne od placówek dyplomatycznych i konsularnych. Jest to rozwiązanie „eleganckie”, gdyż pozwala instytutom uwolnić się od wykonywania usług na rzecz bieżącej polityki, a równocześnie wydatnie podnosi to wiarygodność przesłania płynącego z ich programu. Warunkiem powodzenia i skuteczności takiej koncepcji prowadzenia zagranicznej polityki kulturalnej są środki wystarczające do realizacji ich własnych, specyficznych programów, konieczne jest także aby osoby kierujące tymi placówkami respektowały pewne ogólne polityczne uwarunkowania naszej aktywności za granicą. Obydwa warunki nie były w Niemczech spełnione, przynajmniej w latach, które znam z autopsji. Z tego powodu w latach 2003-2005 niektóre Instytuty Polskie w Niemczech wydawały stosunkowo duże, jak na możliwości polskiego MSZ, środki na ekscentryczne inicjatywy artystyczne, niemające w najmniejszym nawet stopniu związku z dominującym wówczas polsko-niemieckim dyskursem o historii i polityce. Oczywiście, jeśli spojrzymy na sprawozdania z tamtych lat, wszystko wygląda znakomicie, odnieśliśmy kolejny sukces.

Po upływie kilku lat wydaje mi się, że nasze argumenty miałyby większą szansę znaleźć posłuch, gdyby polityka historyczna jako składnik polityki kulturalnej należała już wówczas do aparatu pojęciowego naszego i centrali. Pamiętam jednak, jak w tamtych krytycznych miesiącach mówiliśmy sobie rozgoryczeni, że nie pozostaje nam nic innego, jak mocniej naciągnąć czapki na uszy i działać po swojemu. Wspomniałem już o złożeniu polskiego wieńca w dniu 1 września 2003 roku w Neue Wache. Było to *novum*, gdyż do tej pory polskie działania symboliczne dopasowane były do niemieckiego lub międzynarodowego kalendarza, po to aby zostały zauważone. Tym razem to strona polska narzuciła stronie niemieckiej datę ze swego symbolicznego kalendarza, widząc w rozpoczynającym II wojnę światową niemieckim ataku na Polskę początek przyczynowo-skutkowego łańcucha wydarzeń okresu wojny i pierwszych lat powojennych, a także klucz do poprawnej ich interpretacji.

Warto wspomnieć, że data 1 września jest w zasadzie nieobecna w historycznej świadomości współczesnej niemieckiej młodzieży. Sprawdzaliśmy to wielokrotnie. Wielu Niemców, szczególnie starszej generacji, żywi przekonanie, że atak 1 września 1939 nastąpił „nie bez powodu”, a ogromna większość społeczeństwa skłonna jest przy-

pisywać wojnie zbrodniczy charakter dopiero od chwili ataku Niemiec na ZSRR. *Novum* wspomnianego aktu było także to, że wieniec złożony został w Centralnym Miejscu Pamięci Republiki Federalnej Niemiec, które – jak głosi inskrypcja – poświęcone jest „ofiaram wojny i panowania przemocy” (*Den Opfern des Krieges und der Gewaltherrschaft*), bez określenia ich przynależności państwowej lub narodowej, a więc wszystkim, czyli również polskim, aczkolwiek w potocznym rozumieniu jest to niemieckie miejsce pamięci. Do tej pory strona niemiecka nie była w taki sposób chwyтана za słowo i zgodę na składanie wieńca wydała dopiero po długich i intensywnych – jak słyszeliśmy – konsultacjach między berlińskim ratuszem i najważniejszymi urzędami federalnymi. Nie tylko wydała zgodę, lecz także sprawiła, że wieniec od Rządu Federalnego złożyła federalna minister sprawiedliwości Brigitte Zypries. Poznaliśmy ją jako polityka unikającego efekciarstwa, o niezawodnym etycznym instynkcie i poczuciu taktu. Uderzająco licznie reprezentowany był tego dnia korpus dyplomatyczny. W następnym, 2004 roku ta symboliczna ceremonia odbyła się ponownie, a Rząd Federalny reprezentował wicekanclerz i minister spraw zagranicznych Joschka Fischer.

Wieczorem tego dnia doszło do najbardziej niezwykłego koncertu, jaki przeżyłem w Berlinie. Odbył on się w ewangelickiej katedrze, będącej główną świątynią dawnego Królestwa Prus, w której krypcie pochowani są Hohenzollernowie. W programie koncertu było niemieckie prawykonanie *Missae pro pace* Wojciecha Kilara. Koncert odbył się w obecności kompozytora. Wykonawcami było, oprócz solistów i dyrygenta, prawie trzystu uczniów krakowskich szkół muzycznych. To wielkie przedsięwzięcie artystyczne i logistyczne, finansowane znacznie poniżej jego faktycznej wartości z wyszarpanych i wyżebranych tu i tam funduszy, doszło do skutku tylko dzięki ciężkiej, ofiarnej pracy wielu ludzi dobrej woli, m.in. z zaprzyjaźnionych berlińskich szkół i Niemieckiego Czerwonego Krzyża (łózka polowe i koce). Ze wzruszeniem i wdzięcznością wspominam młodych artystów i ich opiekunów, którzy nie dbając o zmęczenie, niewygody, honoraria i splendory brawurowo wykonali monumentalne dzieło Kilara, przypominając u grobów władców Prus, co oznacza data 1 września.

Innym ważnym wydarzeniem 2004 roku była wystawa „Stolica wolności”, przygotowana na zlecenie Rady Ochrony Pamięci Walk

i Męczeństwa, a poświęcona Warszawie i Powstaniu. Ta bardzo gęsta faktograficznie, a zarazem niezwykle ekspresyjna w formie wystawa¹ otwarta została 4 października 2004 roku przez Władysława Bartoszewskiego i Helmuta Kohla w szacownym miejscu pamięci niemieckiej opozycji antyhitlerowskiej (historyczny *Bendlerblock*), gdzie 20 lipca 1944 działało i zginęło kierownictwo zamachu na Hitlera. Między innymi dzięki szczerzej przyjaźni, jaka połączyła nas z kierownictwem tej instytucji, wystawa mogła być tam prezentowana aż przez dwa lata.

Próbując uprawiać (nienazwaną wówczas) polską politykę historyczną w Berlinie, w jednej sprawie mieliśmy szczęście. Oto tamtejsza, niedawno otworzona Stacja PAN znalazła się w rękach dwóch historyków, zajmujących się zawodowo tymi aspektami stosunków polsko-niemieckich, w których ich ekspercka wiedza była najbardziej przydatna z naszego punktu widzenia. Nigdy nie słyszałem, aby skierowanie ich do Berlina było wynikiem specjalnej przenikliwości politycznej władz PAN, zatem chyba rzeczywiście możemy mówić w tym wypadku o uśmiechu losu. Wywiązała się między nami partnerska współpraca. Jej wartość nie polegała bynajmniej na tym, że badacze ci świadczyli jakieś usługi na rzecz dyplomacji i polityki, lecz na uspokajającym poczuciu, iż ktoś myślący podobnie jak my jest pełnoprawnym i stałym uczestnikiem życia naukowego niemieckiego środowiska historycznego i przynajmniej na tym obszarze Polska nie jest głucha i niema.

Gdy w 2005 roku zbliżała się wybitnie upolityczniona sześćdziesiąta rocznica zakończenia II wojny światowej, staliśmy w Berlinie z pustymi rękoma. MON wprawdzie wydał z tej okazji ciekawą graficznie i dobrze ilustrowaną broszurę o wkładzie Polski w zwycięstwo nad III Rzeszą, ale w tak strasznym tłumaczeniu na niemiecki, że trzeba było jej niemalże nakład trzymać w ambasadzie pod strażą, aby żaden egzemplarz nie wydostał się na zewnątrz. MSZ przysłał nam mailem kilkunastu stronniowy esej znanych warszawskich historyków na ten sam temat. Był to więcej niż dobry tekst, jednak ambasada nie miała środków, aby zrobić zeń narzędzie promocji

¹ Mankamentem wystawy jest to, iż przeciętny cudzoziemski odbiorca może w pełni zrozumieć jej przekaz tylko wtedy, gdy zostanie oprowadzony przez kompetentnego przewodnika, którego utrzymywanie jest kosztowne i często wręcz niemożliwe.

z prawdziwego zdarzenia. W tej sytuacji uprosiliśmy historyków ze Centrum PAN w Berlinie, aby na wiele tygodni odstawili na bok swe plany naukowe i przygotowali świetną, kilkuplanszową wystawę tekstowo-fotograficzną o losach i walce Polaków w okresie wojny, którą poniżej kosztów własnych wykonała jedna z wielkich firm poznańskich, a my prezentowaliśmy w oknach przeszklonego frontu budynku ambasady przy Unter den Linden.

Gdy zaczął zbliżać się czas zwyczajowej rotacji w berlińskiej Stacji PAN, kilka głów jednocześnie (sukces ma wiele matek i ojców) zaczęło z troską myśleć, co to będzie, gdy pracujących tam historyków zastąpi zasłużony biochemik lub gramatyk opisowy. Z tej obawy powstał pomysł stworzenia w Berlinie polskiego odpowiednika Niemieckiego Instytutu Historycznego w Warszawie. Dzięki niespożytej energii ówczesnej pełnomocnik do spraw stosunków polsko-niemieckich prof. Ireny Lipowicz i poparciu kilku bardzo poważnych postaci polskiej sceny politycznej, a ponadto niewątpliwemu już uwrażliwieniu świata polskiej polityki na kwestie historyczne, idea ta doczekała się realizacji w czasie krótszym niż dwa lata. W ten sposób w październiku 2006 roku powstało Centrum Badań Historycznych PAN w Berlinie. Chciałoby się wierzyć, że ktoś, kto w przyszłości będzie systematycznie badał poruszane w tym tekście kwestie, uzna, iż właśnie między majem 2005 a październikiem 2006 roku doszło w Polsce do trwałej zmiany w podejściu do zagranicznej polityki historycznej, a przykład Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa i stałej reprezentacji polskich nauk historycznych w Niemczech dowodzi, że pomimo skromnych sił i środków, dzięki jasnemu zdefiniowaniu zadań i ciągłości personalno-programowej można osiągnąć bardzo wiele.